



ORANGUTANG.

ZARYSY Z BADAŃ PRZYRODZENIA.

II.

Amerykanie potrafili korzystać z pojętności niektórych dzikich ptaków i skłonić je do życia domowego. Długo-szpon albo chawarja Paragwajska (*Parra chavaria*. Lineusz), dochodzi wielkości małego indyka. Głowa jego, okryta puchem podobnie jak szyja, przyozdobiona jest kształtną koroną ze stojących piórek; pierze ma szaro-otłowiane, długie nogi opatrzone w mocne pazury, a końce skrzydeł uzbrojone rogiem, grubym, długim, spiczastym, który ją czyni bardzo groźną dla innych ptaków. Charakter jej jest jednak łagodny, wspaniały nawet, gdyż jedynie używa swój siły i odwagi ku obronie lekkiego ptastwa domowego, które

Indyanie straży jej powierzają. Przechadza się cały dzień z wielką powagą, pośród kur, kaczek i gęsi sobie powierzonych; przenikliwe jej oko, zawsze ku obłokom zwrócone, dostrzega drapieżnego ptaka, w największej odległości.

Skoro go zoczy, wydaje okrzyk trwogi i gotuje się do walki. Na próżno jastrząb łupieżca, spada z szybkością gromu na gęś lub kurę, już długo-szpon stoi w pogotowiu, z nadstawionym dziobem i najeżonymi piórami. Jednym skrzydłem zasłania ofiarę, a drugim uderza napastnika, i kolcem swoim zadaje mu głębokie rany w szyję i piersi. Jak szermierz wyćwiczony w polowaniu, unie upatrzeć sposobną chwilę ugodzenia go kończącym dziobem w oczy, i zadrapania ostremi szpony. Podważa razy, obala przeciwnika, gromi go ra-

czę swoją odwagą i zęcznością niżeli siłą, i wkrótce zmusza do wstyduj ucieczki. Wówczas prostuje się i dumnie przechadza śród swej przelęktj gromady, a koguty tym czasem wysilają się na opiewanie jego zwycięstwa.

Leż jeśli ptak drapieżny napadnie jego stado, wtedy gdy pasące się na polu może rozproszyć się ze strachu i tak odosobnione stać się łatwym łupem, wówczas, inny obrońca przybywa im na pomoc. Jest to agami, którego głos ryczący, podobny do dźwięku trąby, przestrasza jastrzębia i przywołuje pasterza na pomoc nieulektemu chwaryi.

Agami czyli gruchacz (*Psophia crepitans*, Lin:) nie ma ani siły ani odwagi chwaryi, lecz przewyższa ją pojęciem, podobnie jak wszystkie inne zwierzęta, prócz psa jednego. Ptak ten, jest tak wielki jak duży kapłon, pierze ma czarniawą, z jasno fioletowym odcieniem na piersiach, głowę i szyję okrywa mu puch czarno-fioletowy, naśladujący aksamit; dziób ma mocny, oczy wielkie, świecące, pełne wyrazu. Ciało jego podługne, prawie prostopadłe, unoszą długie żółte nogi. Łata źle, lecz bieży nadzwyczaj szybko.

W stanie dzikości żyje po lasach, żywi się ziarnem i owocami, i gniazdo swoje u stóp drzewin zakłada. Oswojony, poznaje rękę co go żywi, przywiązuje się do swego pana, chodzi za nim wszędzie, posłuszny jest jego głosowi; i pieści się z nim zupełnie jak pies. Podobnie jak pies lubi się przypodobać, i aby tego dokazać stara się być użytecznym. W nocy czuwa pod drzwiami domu i daje bacność na to co się dzieje na dworze. Jeśli złodzieje chcieliby się zakraść przy pomocy ciemności, czujny stróż trąbi natychmiast na twogę i budzi donośnym głosem, podobnie jak pies szczekaniem. W dzień dogląda podwórza i utrzymuje na niem porządek. Wypędza kury i gołębie z ogrodu, słowem, czyni wszystkie małe przysługi, do jakich tylko jest zdolnym, chociaż ich nawet niewymagają po nim.

Niekiedy powierzają mu stado gęsi, aby je zaprowadził w pole. Trzeba w ówczas widzieć, ile sobie zadaje pracy dla utrzymania porządku w gromadce; prowadzi ją; kieruje, przyspiesza jej pochód, kareci spóźniających się, zmusza te które zbaczają z drogi, aby na wspólnym pasty się polu. Utrzymują nawet, że gdy pasterz nie ma psa do prowadzenia owiec, dwóch agami mogą wysmienicie go zastąpić, i że w takim razie okazują zadziwiającą pojętność i gorliwość. Nie ciekawszego jak widzieć głupie owce, bieżące z przestraczem, cisnące się jedne do drugich, a to wszystko, a-

by być posłuszne ptakowi, sześć razy mniejszemu, i dwadzieścia razy słabszemu od najmniejszego z nich.

Zarysy te zakończymy opowiadaniem rozmaitych podrózników, o instynkcie dwóch gatunków małp, Orangutangów, i Szympanów. Między obiema zachodzi znaczne podobieństwo. Orangutangi znajdują się na wyspie Bornea. Szympany zaś w najgorętszych krajach Afryki południowej.

Miejscem przebywania Orangutanga są wielkie tajejsze lasy, zęcznie wdrapuje się na drzewa i w napaści mocno się broni. Stare tak szybko i silnie kijem się oganiają, iż kilku ludzi nie są w stanie żywcem jednego pojmać i dla tego młodych tylko można dostać. Dorosły Orangutang jest tak silny iż najmocniejszego chłopca łatwo o ziemię rzuci. Mieszkańcy bardzo strzegą spotkać się sam na sam z tym zwierzem w lesie.

Szympany w nieprzebytych lasach Afryki w oddaleniu od mieszkań ludzkich stadami się utrzymują. W obyczajach i sposobie życia, małpy te równają się Orangutowi. Są równie silne i częstokroć słonie muszą im z placu ustępować. Murzyńcy gdy się do nich zbliżą niebacznie, bywają nie raz pobici. Ogień zostawiony przez murzyńców Szympany otaczają z radością i przeskakują przez niego; jednakże nie umieją go utrzymać przez dokładanie drzewa. Stare Szympany nie dadzą się schwytać żywcem, ale młode można podejść i wychować, wtedy bywają łagodne i nazwyczają się do różnych posług domowych.

Menażerya Londyńska, posiadała w roku zeszłym, żyjącego Szympana, lecz zdechł po kilku miesiącach pobytu w stanie domownictwa. Menażerya Paryzka, posiada Orangutanga, o którego słabości i wyzdrowieniu donosiły ostatnie gazety. Rycina umieszczona na czele dzisiejszego zeszytu, przedstawia wyobrażenie tego zwierza, zdjęte z natury.

Szympan londyński schwytyany był na południowo zachodnim brzegu Afryki. Okazywał się żywym i wesołym, zważał na wszystko co się koło niego działo i każdej rzeczy przypatrywał z miną tak poważną, tak zamyśloną, iż nie podobna było wstrzymać się od śmiechu. Był bardzo poufałym i jak dziecko bawił się ze swemi dozorcami; obchodzono się z nim jak z dziećciem; myto mu codziennie twarz i ręce; z wielką powagą i uległością poddawał się tej czynności. Zawsze okazywał wielką ochotę posiadania tego, czego nie miał, a skoro tylko dostał rzecz którą pragnął, porzuczał ją zaraz po obejrze-

niu. W jego igraszkach i swawoli, nie było wcale tej nieustannéj ruchliwości i wykrzywian małpich, i to właśnie stanowiło jego wyższość i zbliżało go do człowieka. Żywiono go mącznymi potrawami, owocami, gotowaném mięsem, mlekiem i t. d. Lubił herbatę ale nie chciał piwa i mocnych trunków. Zabawnie było widzieć go z jaką powagą pił herbatę i poważnie stawał potem filiżankę.

Orangutang, znajdujący się w menażeryi paryżkiej, jest także dosyć wesołym i pojętym. Nie lubi zostawać w samotności i wtedy wpada w gniew i drze wszystko co tylko może schwytać. Nie raz przychodzi do pomieszkania dozorczy i tam jest najweselszy; jada rosół łyżką, pije ze szklanki i bawi się z dziećmi.

Podróżnik angielski John Griffith, w dziele swojém, *Cztery lata pobytu na wyspie Cejlan*, umieścił zajmujące opisanie zażyłości swojej z orangutangiem; daje ją w skróceniu.

»Poszedłszy na przechadzkę do lasu nad brzegiem morza, postrzegłem orangutanga, który siedząc na gałęzi wpatrywał się we mnie. Spojrzenia jego były łagodne a twarz nie odrażająca; rzuciłem mu kawałek chleba, zbiegł z drzewa, powąchał go, lecz nie jadł, znając obyczaje tych zwierząt wziąłem drugi kawałek chleba, zjadłem połowę a porzuciłem mu resztę. Wziął je i uciekając niezmiernie szybko, zjadł ją a potem i pierwszy kawałek. Następnego dnia znowu spotkałem toż samo zwierze i przynęciłem je do siebie, rzucając mu chleb i owoce. Odwdzięczając się zerwał kilka orzechów kokosowych i rzucił je pod nogi moje. Nazwyczajony do widywania mię codziennie, czatował na moje przyjście. Pewnego razu przybiegł zmęczony i ujawszy mię za rękę chciał zaprowadzić w głąb lasu. Przyznając że z początku wahałem się iść z nim. Obawiałem się natrafić na gromadę małp, przeciw którym nie mógłbym się obronić. Lecz przewyciężywszy tę obawę poszedłem za moim przewodnikiem. Na twarzy orangutanga malowała się niecierpliwosc której przyczyny nie mogłem odgadnąć.

Uszliśmy kilkaset kroków pomiędzy krzakami i postrzegłem z nie małym podziwieniem, chatkę prawie już ukończoną. Przypomniłem sobie wówczas, że wielu sławnych podróżników i naturalistów poświadcza, iż małpy budują sobie takie chaty. Mój orangutang uradowany był ze swojego dzieła. Klaskał w ręce i gwizdał na znak radości. Lecz wkrótce zasmucił się niezmiernie, widząc iż do téj chaty wniknąć nie mogę. Otwór zastosował

do swego małego wzrostu nie zaś do mojego; jego przezorność nie rozciągała się tak dalece. Uniesiony złością rozrzucił sztafas a poprowadziwszy mię na miejsce gdzie był nagromadził gałęzie, włożył mi kilka pod rękę, sam wziął tyle ile mógł udźwignąć i dał mi znak abym poszedł za nim; usłuchałem, i mniemany pan stworzenia stał się pomocnikiem małpy.

»Wkrótce zrobił wnikście do chatki, większe i odpowiednie mojemu wzrostowi. Dopomagałem mu w téj robocie. Wewnątrz przy wnikściu były dwa postania z mchu, dosyć długie, a w kącie zapas kokosowych orzechów.—Nie zdołałem opisać jak się zdziwił i zasmucił biedny Orangutang, gdy zabawiwszy przez czas niejaki w jego chatce, zabrałem się do powrotu. W jego małej głowie uroiło się, iż musimy żyć razem jako przyjaciele. Dla tego to, zbudował chatę, nabierał owoców i po swojemu całe gospodarstwo urządził.

»Nazajutrz przyszedłem wcześniej jak zazwyczaj i nie mało użyłem trudów nim znalazłem naszą chatkę. Przyniosłem rozmaite sprzęty; widok ich niezmiernie ucieszył orangutanga. Wkrótce nauczył się nakrywać stół, stawiać krzesła, kłaść talerze i jadać wraz zemną.

»28 Grudnia 1816go poszedłem rano do lasu. Wziąłem ze sobą ciasta i owoce, które mój przyjaciel lubił najbardziej i jakąś niespokojnością powodowany, szłem spiesźnie. W tém usłyszałem jakiś hałas i postrzegłem ślady krwi na scieszece; przyspieszyłem bieg mój i postrzegłem ogromnego węża którego porwał biednego orangutanga i otoczył go swemi kłębami. Potoki krwi płynęły z ciężkich ran jego. Strzeliłem do gadu i trafiłem go; puścił orangutanga i chciał rzucić się na mnie lecz dobiłem go drugim wystrzałem.

Daremne czyniłem starania aby uratować biedną małpę, ostatni raz spojrzęła na mnie z wyrazem wdzięczności i przywiązania którego nigdy nie zapomnę i wydała ostatnie tchnienie.

WYSPA JERSEJ

O parę mil od brzegów Francji, wewnątrz kąta utworzonego przez nadbrzeża Normandyi i Bretanii, tuż przy wnikściu do portów francuzkich, leżą cztery wyspy, nie należące do Francji, a których mieszkańcy mówią francuzczyzną dawnych Normandczyków, zachowują ich prawa i zwyczaję.

Podróżnicy zwiedzający te wyspy, mogąby mniemac że powrócił do feudalnych cza-



ZAMEK ELŻBIETY NA WYSPIE JERSEJ.

sów; znajdzie tam lenności, drogi królewskie, połączonych lenników, sędziów lennych i całą organizacją jaką w średnich wiekach istniała. Jakże się stało, że tak bliskie Francji, wyspy te pozostały w mocy Anglików?

Jakimże sposobem, w przeciągu ośmiu wieków, nacechowanych tak wielkimi i tak licznymi przemianami, szczęśliwi ich mieszkańcy nie doznali żadnej znaczącej zmiany, w urządzeniu towarzyskiem i w mowie?

Na te zapytania nie można dać zaspokajającej odpowiedzi.

»Wszehwałdna opieka boska, mówi jeden z mieszkańców wysp Jersey, widome okazała się nad nami, że nas przez tyle wieków ochroniła od przewagi Francji. Francuzi odzyskali obszerne prowincje, utworzyli sobie drogę do Niemiec i Włoch, żyłszy na równinach Flandryi zamienili w nieustanny plac wojny, a zawsze byli odparci ile-

croć chcieli zająć wyspy nasze, jak gdyby miała odnoga morska rozdzielająca Francją od brzegów naszych, była przeznaczona w mądrości Najwyższego do wstrzymania ich podbojów i dumy.«

Ten wyjątek dostatecznie okazuje, jak dalece mieszkańcy lękają się aby ich nie przyłączono do Francji. Łatwo to sobie wytłumaczyć. Zachowali część dawnych feodalnych przywilejów, które zniszczyła rewolucya francuzka; posiadają przytem różne prawa i korzyści, które im nadał rząd angielski, chcąc dobrodziejstwami przywiązać ich do siebie. I w rzeczy samej, gdyby sprzyjali Francuzom, już od dawna należałoby do Francji. Ze swojej strony, czują, iż spokojniejsi są pod rządem Anglii, odleglejszej od nich, aniżeli Francji tak bliższej. Wyspy te podlegają Królowi Anglii jako dawnemu xięciu Normandji: w ten czas bowiem kiedy Wilhelm xiąże Normandji zdobył Anglią, królowie Francji

nie mieli żadnego prawa do Normandyi, przyłączyli ją potem do swego państwa, skutkiem zwycięstw i traktatów, lecz wyspy Jersej, Guersenėj. Auriguy i Serk, oparły się wojskom francuzkim i zachowały dawne stosunki. Wyspa Jersej jest najznaczniejsza ze wszystkich posiadłości angielskich, leży o trzy mile fran: od brzegów Francyi, a o 30 od brzegów Anglii, długości ma 4 mile, szerokości 2. Żyzna, wybornie uprawiana, obłana morzem obfitującą w ryby, wolna jest jeszcze od opłaty cła i podatków.

Wyspa Jersej jest ogniskiem bardzo czynnej kontrabandy, ponieważ przedmioty do konsumcyi opłacają tam bardzo małe cło; cukier kosztuje tylko 10 soldów funt, kawa 20 soldów, tabaka jest bardzo tania.

W noc ciemną i burzliwą, szalupy przyplływają do brzegów Francyi i staczają w morze, tuż przy skałach, znaczne partie tytoniu upakowane w szeszelnie zamkniętych beczkach. Celnicy nie mogli ich postrzedz. Następującej nocy ich spółnicy mieszkający nad brzegami Francyi, wyławiają towar, znając jego położenie.

Ci wyspiarze prowadzą także z Anglią kontrabandę herbatą. Herbata przywożona do Anglii i przeznaczona na wywiezienie z kraju, wolna jest od opłaty; kontrabandziści kupują ją w składach i wywożą skrycie do wyspy Jersej, a ztamtąd wchodzi znowu do Anglii, jako herbata angielska i niby już oclona. Zamek Elżbiety królowej, którego rycinę umieściliśmy, zbudowany był za panowania tój monarchini. Jego położenie czyni go prawie niepodobnym do zdobycia i jest główną obroną tych posiadłości W. Brytanii.

B O C I A N

(Wyjątek z dzieła: „Badania Starożytności polskich i ruskich.“

Bocian największe uszanowanie odbiera w Polsce i na Rusi; nikt nie waży się doń strzelać; zabić bociana jest to grzech nie przebaczony. Pomiędzy polskim ludem krąży powiastka, że Chrystus Pan jakiegoś obmówcę zamienił w bociana, i kazał mu odtąd świat z plugastwa oczyszczać.

Gdzie się gnieźdzą bociany, miejsce to uważają za szczęśliwe. W XVI wieku używano wyrażenia „Bociana sprowadzić“ co znaczyło szczęście sobie sprowadzić, zjednać: gdyż *bocian* a *szczęście* były to w XV i XVI wieku języka naszego bli-

skie synonimy (a). Lecz szczęśliwe to miejsce było nawet bezpieczne od gromu pioruna. Ztąd też w całej Polsce i Rusi zaciągają koła na szczyty drzew blizkich budowli i stodół, z przygotowanym gniazdem, zapraszając zbawczego i ulubionego ptaka do swojej zagrody.

Bocian odwiecznie przywiązany do naszej ziemi, przybyciem swoim z stron dalekich zapowiada ciepły czas wiosny.

Lud utrzymuje, że żaby nazywają go wyrażnie swoim *panem* i powtarza wyrazy śpiewu (jak mówią) żab. Jest to za prawdę harmonijne naśladowanie skrzeczenia żab pojedynczych i wielu razem.

Kum, kum, kum!

Kume, kume, kume!

Kwa, kwa, kwa!

A kto pan?

Pan bocian.

Kilka razem.

Rade temu, rade temu, rade temu!

Do tego Wielkopoleanie dodają niby rozmowę dwóch żab, jak jedna pyta gdzie się żaba podziała, a druga odpowiada że wziął ją bocian.

Ku? — ku!

— A gdzie on? —

— Pon go wzion!

— Pon?

— Pon bocian.—

Lud nazywa go *Grzegotką* lub *Boćkiem*. Ostatnią nazwę w przypowieściach Salomona Rysińskiego znajduj. b) gdzie dawne przysłowie o bocianie umieszcza.

„Nie wadzi na Boćka rzucić.“

To jest że sptoszyć go rzuceniem kija. lub kamienia można, byle nie zranić, a co gorsza zabić, jak objaśnia to przysłowie rękopisn z 1656 roku.

Flisy zwali bociana *Wojciechem*. (c) Odgłos który wydaje dziobem, przez wyraz *klekce* oddawano, jako w tém przysłowiu u Mikołaja Reja z Nagłowic (d) „Klekce jak bocian.“

Jak z powodu długości dziobu jest u nas stare przysłowie:

(a) Stanisław Orzechowski używa tego wyrażenia w dziele bardzo rzadkiem „Ziemianin albo rozmowa ojca z synem w Krakowie 1575 in 8^o min.

(b) Przypowieści 1619 r in 4^o.

(c) Seb. Klonowicz „flis“

(d) Wizerunek.

„Rad, by go bocian nosem iskał.“

Tak z długich nóg Krakowiaczy na sąsiednich wysmukłych górali używają szyderskiej piosnki i przypowiadki że:

„Góral ma nogi bocianie
Kogo zechce to dostanie.“

St. Dłużewski w Kalendarzu na rok 1759 wróżył, iż kto na wiosnę bociany ujrzy latające, pilnym okiem gospodarstwa będzie i przezornym; gdy zaś stojące albo siedzące na gniazdach, leniwym, gnuśnym, lub słabym zostanie. Nadto powtarzał odwieczną wróżbę, że na gniazdo bocianów nie tylko pioruny, ale i grady nie biją.

Przy końcu Sierpnia, bociany w liczne zbierają się gromady, co lud nazywa że *lecą na wieca* (e) i powiada że bocian ranny płacze rzewnymi łzami.

Bociany stawiano za przykład ile są przywiązane do rodziców swoich. Bartosz Pa-procki bierze ztąd wyjątek do przypowieści w księdze „Koło Rycerskie.“

Bocian gdy się zstarzeje, zaraz dziecko jego Wziąwszy ojca do gniazda żywi jak onego On żywił młodych leciech, zagrzewa pierściami. A za miłość takowa jest dziś między nami? Syn na ojca narzeka, że mu żyw nad wola, Gdy mu ma co posłużyć, to go nogi boją, A u pieca zbrukana, siedzi miła matka, Tego czego sam nie mógł zieść da jej ostatka. Ale przeklęta dziewczko i przeklęty synu, Który taką poczciwość czynisz ojcu swemu. Uznasz sam cześć od Boga taką w rychłym czasie Jaką czynisz rodzicom!

K. Wł. Wóycicki.

LITERATURA.

Nowe dzieło

Powiastrki dla dzieci, z prawdziwych wydarzeń, ozdobione jedenastą rycinami i muzyką. Warszawa w drukarni Józefa Węckiego 1837.—in Svo oblong, stronic 182. Cena zł. 7. papier piękny, druk czysty, oprawa kartonowana w drukowanej okładce.—

Xięgarstwo warszawskie przysposobiło kilka dziełek na kolendę dla dzieci na nadchodzące święta Bożego Narodzenia i Nowego Roku; dwa ładne Elementarze z iluminowanemi obrazkami. Zabawka dla

(e) Do 200 z górą bocianów zgromadzonych razem na łące widziałem sam przy końcu Sierpnia 1835 r. na Podlasiu.

dzieci i zajmująca prostotą swoją i moralnością powieść z dzieł Szmidta pod tytułem *Baranek*, w tych dniach opuszczają prasę. Lecz najznaczniejszym i nie tylko chwilowy użytek mającym podarunkiem, które troskliwi i kochający rodzice, dzieciom będą mogli uczynić, jest dziełko: *Powiastrki dla dzieci z prawdziwych wydarzeń*, przed kilkunastu dniami wydane. Dziełko to, równie pod względem pomysłu jako i stylu, należeć będzie do rzędu wyborowych w tym rodzaju; i z tém większą przyjemnością zwracamy na nie uwagę powszechną, że autorka (jest bowiem owocem pióra jednej z dam naszych) zdaje się wróżyć nam tą pracą, następczynię autorki *Wiązania Helenki, Powieści moralnych dla dzieci i Rozrywek*.

Na początku tego dziełka, znajduje się sześć powieści: *Grob dziadunia, Dzieci przy chorój matce, — Wilanów, — Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło; — Ach jak ja się nudzę, — Dla czego, i komedia Radość*, zastosowane do pojęcia młodszych dzieci. Tkliwą smętnością oddycha pierwsza powiastrka, wzruszającym sposobem maluje w niej autorka pierwszą prostotę dziecinnego wieku, następne rozwijanie się wyobrażeń, z niej umieszczony wyjątek da nam poznać piękny styl autorki.

» Często zdarzało się słyszeć te lube dzieciny, jedno drugiemu przypominające, że dziadunio z Nieba patrzy na nich, i cieszy się lub martwi ich dobrym lub złym postępkim. Razu jednego, do łez matkę rozczuliły, gdy na pochwaty jakie im oddawała za dobre sprawowanie się, oboje razem zawołały: *Toby dobrze było żebyśmy teraz pounieraly, prostobyśmy poszły do dziadunia.* Ciągłe więc i one miały na myśli ukochaną osobę, którą ich matka opłakiwała, lecz myślały i mówiły o niej bez żalu, bez smutku. Co u nas sprawia czas i poddanie woli Boskiej, to u was lube dzieci jest skutkiem uśpionego uczucia i prawdziwój boleści. Lecz zbyt prędko przemija ta swoboda waszego wieku! I Józio nie długo je używał. Jeszcze przed rokiem chodzi często do grobu dziadunia, a zawsze by tam wesół, gadający, skaczący jak i młodsza od niego siostrzyczka. Dziś, jaka je różnica między nim a jego malutką siostrzyczką, okaże co następuje.

Po długiej i przykrój zimie, w czasie której dzieci nie mogły towarzyszyć matce do grobu dziadunia; zaledwie pierwszodni wiosny pogodą zajaśniały, zaprowadziła je matka do celu swój nieutulonej żałosci. Biegła skacząc mała Helenka, biegł i Józio za nią wesół; cieszyły się oboj

po tak długim niewidzeniu, zobaczą..
kamień grobowy dziadunia!

Idąc długą Jerozolimską Aleją, zmęczone dzieci usiadły w połowie drogi na ławeczce, i zaczęły jeść przyniesione z sobą sucharki. Józio prędko skruszył swoje, i pobiegł naprzód. Zbliżywszy się do cmentarza, zwolnił kroku, i gdy matka z Helenką nadeszła, wziął ją za rękę mówiąc: »Idźmy razem, bo mnie tu czegoś smutno. W tém postrzegł siostrę jedzącą jeszcze sucharek; odjął go jęj od ust i ze smutną minką powiedział: Jak ty możesz jeść przy dziadunia grobie! Jabym nie mógł!

Po odmówieniu modlitwy, już Józio nie zapytał jak dawniej matki: »Czego płaczesz kiedy dziaduniowi tak dobrze w Niebie? lecz rzekł czule: »Nie płacz mamó bo i mnie się chce płakać.

Helenka tym czasem biegała od jednej do drugiej katakumby, wykrzykując radośnie: »*Chodź, chodź mamó, zobac jakie tu śliczne złote litery, przeczytaj, bo ja nie umiem.*

Odchodząc ucałowała matka oboje dzieci, i ponowiła im w krótkości napominania dziadunia. Józio uszedłszy kilka kroków zamyślony, nagle się zawrócił i zawołał: Mamó! ja tu przyrzekam Tobie, że zawsze będę dobry, a jak urosnę, nie zapomnę nigdy gdzie grób dziadunia, i często go będę odwiedzał! I ja będę odwiedzała, powtórzyła Helenka. — »A jak mama będzie tu leżyć, czy będą dzieci przychodzić? zapytała matka. — »O ja będę, będę! wołała Helenka klaskając rączkami. — Józio zalany łzami, ujął rękę matki w obie dłonie, i śród łkania ledwie wyjąkał: *Nie umieraj mamó!*

Józio od téj chwili wyszedł z pierwszego dzieciństwa, bo uczył co to jest utrata matki!

Kto z was mali czytelnicy, wraz z Józiem łzę uroni nad samą obawą utracenia drogiej wam osoby, niech coraz więcej przejmują się wdzięcznością dla nauki Zbawiciela. Ona tylko przynosi ulgę i pociechę; ona śród łez dozwala powtarzać: *Do zobaczenia.* »

Dzieci przy chorój matce, wskazujące użyteczną i potrzebną naukę roztrzępłym dzieciom. Bardzo trafna jest powiastka *Dla czego* i możemy zaręczyć, że po jęj przeczytaniu nie jedno dziecko odwyknie od niepotrzebnych i nudzących pytań: — Powieść, *Jak ja się nudzę*, i *Nie czyń drugiemu co tobie nie miło*, też same mają zaletę.

Dalsze przedmioty zawarte w tym dziełku, jako to Wyjątek z pierwszej i drugiej podróży Józia do Buska, Kołęda, Listy

Helenki i Karoliny, Wieczorynka i Dziennik Helenki, są już dla dzieci starszych więcej usposobionych; stopniowanie między przedmiotami jest bardzo dobrze utrzymane.

Nie możemy dostatecznie wynurzyć wdzięczności naszej, autorce, że wszystkie przedmioty powzięte są z obrazów naszego towarzyskiego życia; że opisuje miejsca i zakłady które mamy przed oczyma, a właśnie dla tego nie zwracamy na nie uwagi i mniej je znamy, niżeli obce pomniki, płody, osobliwości, które są zwyczajnym i nie wyczerpanym źródłem naszych obrazkowych magazynów. Pod tym względem, *Dziennik Helenki* kończący to dziełko nie tylko dla dzieci ale i dla dorosłych jest zajmującym, i dla tego umieszczamy z niego opis ogrodu Saskiego i targu oraz obraz instytutu moralnie zaniedbanych dzieci.

»Przecie wczoraj mieliśmy piękną pogodę, a korzystając z nięj, poszłam z Mamą na targ za *żelazną bramę*. Bardzo to miło przechodzić rano przez ogród Saski, a osobliwie w Piątek. Zupełnie inną postać przybiera ten piękny ogród, jak go znamy we święta po obiedzie. W tedy tylko średnia aleja przepętuiona ślicznie postrojonymi paniami, i rozmaitemi panami, uzbrojonymi w lornetki i laseczki. Wszyscy wolnym krokiem przechodzą, przypatrując się to jedni drugim, to siedzącym na ławeczkach, ciekawym widzom tego żyjącego Panorama. I wzajemnie, chodzący dla siedzących, a siedzący dla chodzących służą za widowisko. Ja też z mamą nigdy środkową ulicą nie chodzę. Parę razy tylko przez ciekawość usiadłyśmy przez chwilę na ławeczce, ale najlepiej lubię ten ogród od strony Pałacu Zamajskich. Jakie tam mnóstwo słowików, tyle nianiek i mamek z dziećmi na ręku lub wózeczkach, tyle chłopczyków goniących się, chowających w krzakach, jeżdżących na drewnianych konikach, tyle dziewczynek z pięknymi lalkami, co mnie bardzo bawi, bo mi przypomina *moje młode lata!* Tam dalej, pod wystawą u Lesła, zajadają przednie lody, ciasteczka i karmelki; częstują się oranżadą lub orszadą. Otóż wcale inne obrazy przedstawiają się tu w piątek rano. Spią jeszcze *garsony* od Lesła, średnia aleja puściusiętka, tylko gdzie niegdzie na ławeczce drzymie stary inwalida, lub siedzi zatopiony w czytaniu jaki literat. Boczne za to ulice są pełne ruchu, gdyż wielką zrobiono dogodność dla gospodyń i kucharek, pozwalwszy do 9tej rano przechodzić przez ogród Saski z wiktuałami. Pospiesza przeto jak może hoża kuchareczka z kobiatką,

obładowaną świeżemi kartofelkami, rakami, sałatą, serem i t. p. Postępuje ranna gospośnia, za nią ugina się kuchcik pod ciężarem ogromnego kosza z rybami, jarzyną, chlebem bułkami i masłem. Biegnie zwinna *młodsza* z koszykiem na jagody, *Próżbanuszką* na śmietanę w jednej ręce, a w drugiej wywija chusteczką, w której rogu pieniądze związane. Wracają lokaj z wazonami róż i rezedy dla swęj Pani. I ja też z Mamą mnóstwo nakupiłyśmy kwiatów. Nasza Julianna musiała znaleźć w swojej kosałce miejsce na moje doniczki z lewkonią i oleandrem, a prócz tego ja niosłam pęk róż, a Mama bukiety z swoich ulubionych konwalii i rezedy. Bardzo zabawny na targu gwar kupujących i sprzedających, obfitość rozmaitej żywności, natłok przekupek, zielniarek, szereg wieśniaczek z jagodami, grzybami i różnemi ziołami; turkot fur i bryczek przybywających z odległych nawet okolic, z nabiątem, owocami i drobiem.

Wśród tego wszystkiego, przyjemnie patrzeć na rządne gospodynie, schludnie poubierane, przesuwające się zwinnie i zgrabnie wśród ustawionych na ziemi garnków, rynek, kojców, worów z mąką i kaszą, wiązek jarzyn, i t. d. Ładnie się wydaje sam wstęp do targu. Z jednej strony stoją uszykowane pojazdy przybyłych kupujących, a z drugiej zastawione rzędem wozy ogrodników z przesłicznymi kwiatami. Ale cóż! kiedy cały ten obraz pełen życia i blasku, zaćmiony jest odróżającymi żydami i żydówkami których na nieszczęście wszędzie u nas pełno!

25. Lipca, Ach mój Józiu! żebyś wiedział, jak jestem wzruszoną, zamyśloną, smutną i wesołą. Ale i ty doświadczyłbyś tego samego, gdybyś był ze mną tam z kąd wracam. Zwiedzałam dzisiaj z kilku osobami i z Mamą, *Instytut moralnie zaniedbanych dzieci*. Pamiętasz zapewne, z jakim zajęciem stuchaliśmy, gdy nam papa czytał *zdanie sprawy* o tym Instytucie. Otóż wszystko co tam opisane, ja widziałam! Jaki wszędzie porządek, jaka czystość, jak doskonałe urządzenie wszystkiego co tylko może mieć wpływ na poprawę tych biednych istot, wyrwanych zbrodni, do której byliby doprowadzeni przez złe wychowanie, opuszczenie i zgubny przykład. Gdyby tylko jedną taką ofiarę ochronić od zepsucia, jaka to już pociecha i nagroda dla szlachetnego umysłu, który pierwszy powziął myśl zaprowadzenia u nas takiego zakładu, i który go utrzymuje niezmordowaną swoją gorli-

wością o dobro ludzkości. Przysłuchując się i przypatrując rozmaitym szczegółom tego dobroczynnego Instytutu, z rozrzwieniem myślałam sobie iż jest on skutkiem usiłowań i zabiegów jednych, a liłości drugich osób; gdyż tak na postawienie domu, jak na utrzymanie wychowanców, nie było dotąd innego dochodu, tylko dary dobroczynne. Zastaliśmy 30 chłopczyków porządnie ubranych; (lubo bosych, bo szczupłość funduszów nie pozwala tylko na zimę sprawić im obuwie); pracowali w ogrodzie: gdzie każdy ma wydzielony kawałeczek gruntu, na którym wolno im uprawiać co się im podoba.

Tęj wiosny umówili się wszyscy aby kosałkami swoje grządki zasadzić, a to dla tego ażeby na jesień przybyła im z własnej pracy wieczera, której dotąd nie otrzymują także dla braku funduszu. Jednakże nie zaniedbali ozdoby swoich *włóści*; każda osadzona jest kwiatami, i bardzo się ubiegają o przewyższenie jedni drugich pięknością roślin. Byliśmy przytomni ich objadowi, który przy najmilszej dla oka czystości, składa się z kawałka chleba pytlowego i porcji zupy runforckiej, której kosztowaliśmy wszyscy, i tak mi smakowała, iżbym jej chętnie całą miseczkę zjadła, gdybym się nie obawiała pozbawić obiadu którego z wychowanców.

Poznałam wśród nich tego małego chłopczyka, którego tak często spotykaliśmy na krakowskim przedmieściu, obdartego, wynędzniałego, z woreczkiem piasku na plecach. Musisz sobie przypominać jak nas zasmuciło i zgorszyło, gdy nie chciał iść za nami, skoro mu powiedzieliśmy, iż zaprowadzimy go do naszych rodziców, który może obmyślał jaki sposób ażeby go ochronić od żebractwa. Otóż dzisiaj ten sam chłopczyk wyrabia ładne słomianki, klei pudełka, umie bardzo dobrze katechizm, nie źle czyta, niezgorzej pisze pićkiem na piasku, a nadewszystko jest pilny i posłuszny. Przyszajże teraz mój Józiu, czy nie słusznie pisałam: Jestem *wzruszoną, zamyśloną, smutną i wesołą*. Nie można się nie cieszyć i nie być wzruszoną, patrząc na te istoty naprowadzone na drogę cnoty, i to jedynie staraniem i darami osób powodowanych miłosierdziem chrześcijańskim. A czyż przytém nie ma się czego smucić, myśląc iż tyle jeszcze pozostaje ofiar których niedostateczność funduszów tego Instytutu nie pozwala ochronić od nieszczęścia i zguby! Ach mój Józiu! prosimy Boga żeby błogosławił coraz więcej temu zakładowi. Matka Boska mile przyjmie modły dzieci szczęśliwych, za dziećmi nieszczęśliwymi.